Nie lepiej pod tym względem było w domu, gdzie mieszka­ją państwo Władysławostwo Witkowscy.

Wszystkie boje pani Władysławowej o klucz od góry do­chodziły głośnym echem do zmęczonych uszu pana Władysława i zatruwały mu pobyt w domu.

* Inny mąż ująłby się za żoną, nie pozwoliłby jej poniewie­rać byle wyciruchowi! Ale dla ciebie to sprawa obojętna. Twoją żonę mogą zmaltretować, klucza nie dać parę miesięcy... ty się nie ruszysz! Leń, niedołęga, tchórz!

Słysząc takie przemówienia przy każdym praniu, pan Wła­dysław pewnego razu nie wytrzymał.

* Dość, psia krew, już mam tego! Ja ci się postaram o klucz od góry!

Zrobiwszy jakieś straszliwe postanowienie, pan Władysław wyjął z biurka rewolwer i udał się na strych, gdzie właśnie roz­wieszała bieliznę inna lokatorka tego domu, pani Zuzanna Mi­chałowska, która nieprawnie jakoby zawładnęła kluczem, należ­nym tego dnia pani Władysławowej.

Pan Witkowski zażądał natychmiastowej eksmisji cudzej bielizny ze strychu, a gdy to nie pomogło, otworzył gęsty ogień z browninga.

Oczywiście pani Michałowska, pomieszana z mokrą bieli­zną i koszem, skoziołkowała na parter.

Góra była opanowana. Ale drogo miał zapłacić pan Włady­sław za swoje zwycięstwo.

Stanął przed sądem grodzkim, oskarżony o zamach na ży­cie pani Michałowskiej i przestrzelenie w czterech miejscach mokrych trykotów, należących do jej małżonka.

Jako usprawiedliwienie swego czynu pan Władysław wy­szeptał tylko:

* Jestem żonaty, panie sędzio.

Sędzia popatrzył na oskarżonego ze zrozumieniem. Na jego surowym obliczu odmalowało się współczucie i skazał pana Władysława na jeden miesiąc aresztu, zawieszając wykonanie na dwa lata.

Węgierski temperament

Wycie jazzbandu, obnażone ramiona kobiet, błyszczące podnieceniem oczy, gdzieś z kąta dolatujący hałaśliwy, pijacki śmiech, kolorowe strzępy serpentyn składają się na conocną at­mosferę, w której pracuje ona, mała tancerka węgierska, jasno­włose dziewczę, gdzieś spod Budapesztu koleją losu zagnane na śliski parkiet warszawskiego dancingu.

Co noc o jednej godzinie pada snop czerwonego światła na puste miejsce między stolikami, gdzie ukazuje się naga tancerka Eriska Nagy i zaczyna tańczyć.

Tak też było i tej nocy. Podchmieleni goście uśmiechali się obleśnie, zaczepiając bezwstydnymi uwagami tańczącą.

Tylko siedzący przy środkowym stoliku młody malarz Je­rzy W. patrzył na nią innymi oczami. Dla niego mała tancerka była zawsze tą dawną, małą Eriską, poznaną trzy lata temu w wę­gierskim miasteczku podczas artystycznej wędrówki.

Przymknął oczy i marzył. Widział siebie i ją w pełnym roz­kwitłych róż ogrodzie jej matki.

Tony czardasza przywodziły mu na pamięć dzieje ich pło­miennej miłości. Pierwszy pocałunek, szalone noce, zaklęcia dozgonnej wierności i nagłą jej ucieczkę z nędznym kabotynem, przejezdnym tancerzem.

Młody malarz nagle zapłakał i wśród łkania opowiedział swą smutną historię siedzącemu z nim przyjacielowi, panu Zdzi­sławowi A., który wysłuchawszy opowieści, postanowił pojed­nać przyjaciela z dawną jego kochanką i pociągnął przebiegającą obok nich tancerkę za falę kruczych włosów.

Węgierka przystanęła, w oczach jej zapaliła się iskra praw­dziwego madziarskiego gniewu, po czym Eriska krzyknęła:

- Cholera nie goście! Za perugie taki łachmyta jeden z dru­gim artystkie ciągnie, a syfon wody i dwie szklanki ma na stoli­ku. Rządzi się drań w jenteresie, jakby co najmniej jendyka z komputem zamówił... łachadojda bigosem karmiona!

Pan Jerzy W. wstał, rozłożył ręce i zawołał głosem rozdzierającym:

- Eriska, nie poznajesz mnie? Za to, żeś mi wówczas serce na wylot przebiła, giń z mojej ręki!